

Hrabyk, Klaudiusz

Wrześniowe dni "Kuriera Porannego"

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 21/3-4, 95-109

1982

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WRZEŚNIOWE DNI „KURIERA PORANNEGO”

1 września 1939 r. w południe Pietrzyński jako redaktor naczelny „Kuriera Porannego” zwołał nas do swego gabinetu i wygłosił krótkie przemówienie, wskazując na wzmożone obowiązki w redakcji i na konieczność zachowania spokoju i pełnej równowagi w pracy*. Apel stanowił raczej zbyteczną podniecie, ponieważ byliśmy wszyscy w najwyższym stopniu przejęci wybuchem wojny, napadem Hitlera i całą w ogóle sytuacją, jakkolwiek — należy to stwierdzić — co najmniej w pierwszym i drugim dniu nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z grozy położenia i przełomowego znaczenia wydarzeń. Znajdowaliśmy się, podobnie jak zdecydowana większość społeczeństwa, pod wrażeniem stałych zapewnień, że wprawdzie mogą dla Polski nadejść trudne, ale nie beznadziejne dni. Przekonanie, że jesteśmy naprawdę „silni, zwarci i gotowi”, nie było drętwym, oficjalnym frazesem, ale wynikało z rzeczywistej wiary i zaufania do armii, wodza, narodu, kraju, do wszystkiego, co składało się na elementy naszej gotowości i możliwości bojowej i obronnej.

Mówiąc nawiasem, nigdy nie podzielałem i nadal nie podzielam krytycznych uwag wypowiedzianych na temat hasła o sile, zwartości i gotowości, jakie ówczesne kierownicze czynniki, a głównie Rydz-Śmigły, rzuciły na długo przed katastrofą wrześniową. Na pewno hasło to pozostawało w kolizji z rzeczywistością, materialną siłą naszego państwa, natomiast nie można by tego powiedzieć o zwartości społeczeństwa w obliczu nadchodzącej rozprawy, jak również o jego gotowości moralnej i psychicznej. Oba te czynniki, natury przede wszystkim moralnej, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Ale gdyby nawet można było doszukiwać się takich czy innych poważnych uchybień czy luk w tej dziedzinie, hasło mobilizujące, jakim był propagandowy slogan zawarty w słowach „silni, zwarci, gotowi”, nie powinno być przedmiotem krytyki, skoro szło o wydobyć ze społeczeństwa możliwie największą wytrzymałość wobec zbliżającej się zawieruchy. Jeżeli na pewno nie było dostatecznego zasobu sił materialnych, o czym wiedziały czynniki kierownicze, to należało wzmocnić i przygotować moralną postawę, która wytrzymałaby napór wypadków nawet w najgroźniejszej sytuacji. Żaden dobry dowódca świadomy słabej siły swojego oddziału nie tylko nie będzie mówił o tym swoim żołnierzom, ale w najtragiczniejszym nawet położeniu będzie ich zapewniał, że są na tyle silni, zwarci i gotowi, aby walkę przyjąć i w niej uczestniczyć. Gdyby społeczeństwo polskie знаło prawdę o sile swego państwa przed wrześniem, wiedziało, że państwo polskie jest słabe, nie zwarte i nie gotowe do podjęcia walki, nie byłoby możliwe jakiegokolwiek powodzenie. W tych warunkach Hitler wygrałby z nami

* Fragment ze wspomnień autora z lat 1902—1959 pt. *Po drugiej stronie barykady*.

wojnę nie w pięć tygodni, ale w pięć dni. To prawda, że szok po klęsce na tle owego hasła „silni, zwarci i gotowi” był potężnym wstrząsem i spowodował powszechną gwałtowną reakcję przeciw odpowiedzialnym kierownikom państwa, Naczelnemu Wodzowi i rządowi, ale nie naruszyło to — jak wiemy — niezachwianej wiary narodu ani w państwo, ani w zwycięstwo polskie i nie odebrało mu sił do kontynuowania walki. Innymi słowy slogan przedwrześniowy w ostatecznym rachunku nie tylko nie zdemoralizował społeczeństwa, lecz przeciwnie — w godzinie zagrożenia na pewno poderwał do czynu.

Kończąc swe wystąpienie Piestrzyński zapytał, czy ktoś chce zabrać głos. Uczył to pierwszy Marian Szydłowski, zapytując, czy redaktor naczelny jest pewien lojalności wszystkich członków redakcji. Było to szokujące. Chwilę zamieszania, jaka po tym zapanowała, przerwałem, zwracając się do Szydłowskiego z wezwaniem, aby sprecyzował dokładnie i imiennie swoje podejrzenia lub wątpliwości, w przeciwnym bowiem razie stawia cały zespół redakcyjny w trudnej sytuacji. Szydłowski początkowo odmówił, a wtedy siedzący obok niego W. Dunin-Wąsowicz, zamieniwszy z nim po cichu kilka zdań, zawiadomił, że wie już dokładnie, o kogo chodzi.

Okazało się, że wątpliwości dotyczyły osoby Herminii Bukowskiej. Nasza koleżanka, bodaj najstarsza wiekiem wśród nas, była pochodzenia niemieckiego i tego faktu nie ukrywała. Co gorsza jednak — nie ukrywała również swoich sympatii dla Niemców i Hitlera, zapowiadając na kilka dni wcześniej, że w wypadku wybuchu wojny jako Niemka z pochodzenia nie ma podstaw do obaw. Nie braliśmy tych zapowiedzi na serio, ponieważ Bukowska, należąca do senierek redakcyjnych, cieszyła się ogólną sympatią zespołu i nie zajmowała się polityką. Po prostu traktowaliśmy jej wypowiedzi jako „babskie gadanie”, nie mające żadnego znaczenia. Tak też potraktowano wątpliwości Szydłowskiego. Okazało się jednak, że nie były one całkowicie bezpodstawne. W czasie okupacji jako jedyna spośród naszego zespołu redakcyjnego Bukowska zgłosiła się jako „reichsdeutschka”, ale stwierdzić należy, że nie dopuściła się poza tym żadnych wykroczeń przeciw interesom polskim; przeciwnie — udzielała np. schronienia i pomocy kolegom redakcyjnym żydowskiego pochodzenia i zapisała się dobrze w ich pamięci. Jeden z jej synów był czynnym i ofiarnym działaczem Podziemia polskiego, bodaj nawet więźniem obozu koncentracyjnego. Bukowskiej nigdy w czasie wojny nie spotkałem. Zmarła po wojnie, nie pociągana do żadnej odpowiedzialności za swój postępek w latach okupacji. Marian Szydłowski natomiast zginął w pierwszych dniach września, zabity bombą w czasie nalotu na szosie pozawarszawskiej, gdy schronił się do betonowego kanału.

Od pierwszej chwili powstała w redakcji atmosfera zamieszania, pokrywana pozorami spokoju. Przede wszystkim zarządono redukcję objętości gazety ze względu na brak dostatecznej ilości papieru. Pamiętam, jak Bogusław Miedziński na jednej z ostatnich okresowych konferencji przedstawiciele prasy ozonowej powiedział z całym naciskiem, aby każde wydawnictwo zadbało o zapasy papieru, ponieważ w razie wojny jego dowóz okaże się niewykonalny. Mało kto wziął sobie to wówczas do serca i ostatecznie od dnia wybuchu wojny cała prasa, także rządowa, zaczęła się ukazywać w drastycznie pomniejszonej objętości, wprowadzając pierwszy element niepokoju: dla opinii publicznej był to dowód, że nastąpiły zahamowania, zanim w ogóle rozwinęły się poważniejsze frontowe działania. Wychodziliśmy więc od pierwszego dnia wojny w objętości 4, a wkrótce tylko 2 stron druku. To fatalne załamanie w dziedzinie propagandy zdradzało brak należytej organizacji i przygotowań także na odcinku prasowym. Redagowanie gazety odbywało się bez żadnego kontaktu z centralnym ośrodkiem propagandy, jakim z dnia na dzień — dopiero po wybuchu wojny — stało się Ministerstwo Propa-

gandy. Nowo mianowany minister Michał Grażyński, wojewoda śląski, nie zetknął się ani razu z prasą ani z innymi, głównymi ośrodkami propagandy. Jeden z wice-ministrów, Zdzisław Stahl (drugim był płk Wyżeł-Scieżyński), opowiadał mi wzburzony, że w ciągu lwowskiego okresu działań wojennych na próżno poszukiwał przebywającego tam wówczas swego szefa, ukrywającego się nawet przed swoim zastępcą, i w żadnej formie nie mógł objąć swego wysokiego, ale całkowicie iluzorycznego urzędu.

1 września wczesnym ranem wysłałem depezę do mego syna Macieja, przebywającego na wakacjach w Ustrzykach Dolnych. Nigdy go nie doszła. Nastąpił paraliż nawet poczty. Tego i bodaj następnego dnia z trudem uzyskałem jeszcze połączenie z redakcją „Dziennika Polskiego” we Lwowie i nadawałem codzienne dla niej depeze (byłem warszawskim korespondentem tego pisma), ale w dniach następnych o nawiązaniu kontaktu telefonicznego z innym miastem nie było już mowy.

Przekazywane dla prasy informacje urzędowe nie były oparte na realnych podstawach. Dowiadaliśmy się więc z Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT) o nalotach lotnictwa zachodniego na Berlin i na Niemcy, o bombardowaniu przez nasze lotnictwo stolicy Trzeciej Rzeszy, o zbombardowaniu i zniszczeniu klasztoru jasnogórskiego przez Niemców, którzy do kościoła wprowadzić mieli konie i żołdactwo. Na ten temat, ufając prawdziwości tej relacji, napisałem w dniu 3 września wstępny artykuł, zlorzecząc Niemcom gwałtownie i piętnując ich za to barbarzyństwo, którego — jak wiadomo — nie było, były natomiast inne, większe i bardziej bestialskie, o których PAT nie informowała. W pierwszych dniach wojny doprowadzało ludzi do szału nadawane przez radio z taśmy bezustanne zawođenje tłumy z Częstochowy, śpiewającego „Pod twoją obronę”, aż wreszcie zwróciliśmy się do rozgłośni z kategorycznym żądaniem, aby zaniechała pogłębiania w ten sposób atmosfery ponuractwa i przygnębienia. Wystarczyło do tego oglądany na ulicach widok masy pojazdów i pieszych, uciekających w popłochu z zachodnich części kraju, przede wszystkim jednak z Poznańskiego. W trzecim czy czwartym dniu, jak wynikało z oficjalnego komunikatu, zajęty został Kraków. Oznaczało to, że padł również Górny Śląsk.

Samoloty niemieckie, które od pierwszej chwili nadlatywały nad Warszawę, chociaż na razie nie bombardowały śródmieścia, atakując lotniska, przedmieścia i obiekty nie zawsze wojskowe, niosły groźbę wojny lotniczej. W czasie alarmów tramwaje i autobusy zatrzymywały się, a pasażerowie chronili się po bramach. Na ogół jednak nie stosowano jeszcze zbyt dużej ostrożności, obserwując latające samoloty, mało kto zdawał sobie bowiem sprawę z następstw rzuconej bomby. Pamiętam, jak gromadnie stawaliśmy na dużym balkonie naszej redakcji, spoglądając na niebo, po którym uwijały się samoloty. O chowaniu się do schronów nikt wtedy jeszcze nie myślał. Wystarczyły bramy. Opieszali, którzy zapomnieli oblepić okna pasmami papieru, mającego chronić szyby przed zniszczeniem, dokonywali pośpiesznie tego zabiegu, przekonani naiwnie, że zabezpieczają w ten sposób skutecznie swoje mieszkania. Ruch na ulicach panował ożywiony, jedynie wierzory wobec całkowitego zaćmienia miasta stawały się inne niż zwykle.

Drugiego albo trzeciego dnia wojny obserwowałem na placu Piłsudskiego co najmniej kilkusetosobowy pochód Żydów niosących flagi polskie i krzyczących bez przerwy: „Wojna, wojna!”, „Precz z Hitlerem!” Również domy udekorowane były flagami polskimi. Stan nerwowości wzrastał się niemal z godziny na godzinę. Chwilowe rozładowanie nastąpiło w trzecim dniu wojny, kiedy nadeszła wiadomość, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Odbyła się pamiętna, wielotysięczna, niemal historyczna manifestacja ludności na ciasnym Nowym Świecie przed mieszczącą się tam wówczas ambasadą brytyjską, a potem tłum ruszył na Frascati pod ambasadę francuską. Zdawało się ludziom, że losy wojny zostały

z tą chwilą rozstrzygnięte na naszą korzyść, a na pohybel Hitlerowi. Wkrótce wypadki zaczęły walić się na nas z tak potworną siłą, żeśmy po prostu zapomnieli, iż mamy sojuszników. Nie było w ogóle o nich słychać.

W teatrach i kinach, wbrew doniesieniom prasy, zapanowały od razu pustki. 3 września z żoną i Stahlem byłem w Europejskim na obiedzie, który odbywał się przy detonacji bomb rzuconych gdzieś na peryferiach i eksplozjach pocisków artylerii przeciwlotniczej. Nie przerywaliśmy jednak posiłku — już ostatniego w restauracji, w Warszawie jeszcze wolnej, ale rozmowa się nie kleiła. Nie przewidywaliśmy jeszcze najgorszego, ale nie nadrabialiśmy już minami, wiedząc, że zaczyna działać się coś bardzo niedobrego.

4 września z Poznania przyjechał czy nadszedł piechotą mój brat Mieczysław, tamtejszy adwokat, opowiadając o tym, co widział w drodze. Stało się jasne, że sytuacja jest dramatyczna. Do żadnego ze znanych mi ludzi w ministerstwach nie można się było dodzwonić. Zaczęło ciążyć nieznośne poczucie samotności i improwizacji w obliczu najbardziej groźnego położenia, kiedy człowiek oczekuje chociaż najogólniejszej wskazówki od tych, którzy reprezentują kierownictwo i ponoszą odpowiedzialność za przebieg wydarzeń.

Prasa warszawska w pierwszych pięciu dniach września 1939 r. ukazywała się we względnie normalnych warunkach codziennej pracy, to znaczy na miejscu znajdowali się prawie wszyscy współpracownicy oprócz powołanych do wojska.

Od wczesnego rana do późnej nocy przesiadywałem w redakcji, która sama dla siebie stawała się centralą informacji, komentarzy, ale i plotek. Piątego dnia od rana w redakcji „Kurier Porannego”, w pokoju Jerzego Wiewiórskiego, przy zamkniętych drzwiach rozpoczęła się narada członków zarządu warszawskiego Syndykatu Dziennikarzy. Poinformowano mnie, że ustalona została lista 100 dziennikarzy warszawskich, którzy mają wyjechać ze stolicy „do dyspozycji Naczelnego Wodza”. Termin nie był znany, ale zarządzono pogotowie umożliwiające odjazd każdej chwili. Zostałem wyznaczony do tej ekipy, wyjechać miał także Piestrzyński, ale osobno, autem. Wyznaczona setka miała ruszyć pociągiem, jak mówiono — do Lwowa. 5 września ściągnąłem walizkę z domu do redakcji, polecając przygotować się również żonie, która miała jechać ze mną, aby dotrzeć do swoich rodziców, gdy ja będę wykonywał obowiązki pod rozkazami Naczelnego Wodza.

Polecenie wyjazdu padło tego dnia późnym wieczorem. Przed tym zostaliśmy wezwani do Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Nie zapomnę nigdy tego makabrycznego spotkania. Do wielkiego gmachu, zwykle jasno oświetlonego, a tego dnia zamarłego i pogrążonego w ciemnej nicości, wchodziły w milczeniu jakby cienie. To na konferencję prasową, pierwszą po wybuchu wojny, zdążali dziennikarze warszawscy, aby u źródła dowiedzieć się o tym, co się dzieje, usłyszeć jakiegokolwiek wreszcie miarodajne oświetlenia i zacerpnąć chociaż małą iskrę nadziei, że przecież nie jesteśmy już u tragicznego kresu rozstrzygniętej wojny. W sali konferencyjnej panował nieład. Obecni stali i siedzieli, nie przestrzegając żadnych konwenansów. Po chwili zjawili się przedstawiciele Rady Ministrów, nie pomnę już — którzy, zabrakło jednak premiera, którego każdy z nas przede wszystkim oczekiwał. Przebieg konferencji był chaotyczny. Nie dowiedzieliśmy się więcej, niż wiedzieliśmy, na końcu zaś zawiadomiono, że rząd opuszcza Warszawę. Podziałało to jak grom. Wszystko stało się przeraźliwie jasne. Szybko opuszczaliśmy gmach Rady Ministrów, wiedząc, że z tą godziną przestaje on być dla nas centralnym źródłem jakiegokolwiek oparcia i informacji.

W dwie albo trzy godziny później znalazłem się przed redakcją „Kuriera Warszawskiego” na Krakowskim Przedmieściu, gdzie wyznaczono zbiórkę jadących pociągiem. Około 11 w nocy zarządzono wymarsz na dworzec Wschodni. Zdołałem uchwycić spóźnioną dorożkę, aby przewieźć nią jedną czy dwie walizki, ale ustąpiłem wehikułu koledze gdyńskiemu, Mężnickiemu, któremu potężna tusza nie po-

zwałała na dłuższy marsz. Poszedłem piechotą. Odprowadzający mnie woźny redakcji popłakiwał. Uściskaliśmy się, obiecując sobie wzajemnie, że wkrótce się spotkamy. Na dworzec przybył na pożegnanie Piestrzyński z siostrą. Po kilku godzinach nużącego oczekiwania dowiedzieliśmy się przed świtem, że odjazd nastąpi z dworca Gdańskiego. Nie było rady. Dźwignęliśmy nielekkie walizy i piechotą ruszyliśmy z Pragi ku Żoliborzowi. Padaliśmy z nóg ze zmęczenia. Gdy wchodziliśmy do pociągu, szarzał już ranek. Wtedy zaczęło się bombardowanie, na szczęście nie naszego transportu, bomby padały jednak gdzieś niedaleko. Wreszcie ruszyliśmy.

Tej samej nocy z 5 na 6 września opuścili Warszawę redaktor naczelny „Kuriera” Ryszard Piestrzyński i dyrektor administracji Mieczysław Orłowski, udając się autem również do Lwowa, gdzie ich spotkałem na krótko, ponieważ bodaj nazajutrz po przyjeździe ruszyli pospiesznie w kierunku Zaleszczyk. Piestrzyński trafił w końcu do II Korpusu i przez wiele lat był naczelnym redaktorem „Orla Białego”. Zmarł w Londynie. Orłowski pozostał w Rumunii, skąd powrócił do Polski i tu umarł.

Zachował się wstrząsający dokument (złożony w archiwum Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie), chyba unikający w tragicznej historii prasy warszawskiej z września 1939 r. Przechowało się oto, obejmujące łącznie 31 stron pisma, ręcznie spisane „Sprawozdanie z działalności pracowników »Kuriera Porannego« od dnia 7 września do 26 września 1939 r.” — jak brzmi jego nagłówek. Na całość dokumentu składają się: wspomniane sprawozdanie, a następnie numerowane, podpisywane protokoły z posiedzeń komisji wyłonionej przez pracowników dziennika i czynnej od dnia 8 listopada 1939 do 26 kwietnia 1940 r., a więc już w czasie okupacji hitlerowskiej. Łącznie spisanych zostało 17 protokołów, tyle bowiem razy zbierała się komisja. Dokumenty te spisywano na liniowanych kartkach administracyjnego druku wydawnictwa, używanego do zapisywania przyjmowanych i wydawanych tzw. akcydensów drukarni „Kuriera Porannego”. Całość, obejmująca 46 kartek, z czego 30 nie zapisanych, oprawna jest w twardą, papierową, czarną okładkę.

Niezwykle ciekawa jest treść tego dokumentu, stanowiącego autentyczny, bezpośredni, na świeżo zapisywany opis pewnego fragmentu walki o Warszawę w 1939 r., zawierającego znaczne bogactwo notowanych faktów i przyczynków do historii tamtych dni, a dla dziejów prasy tego niedługiego, ale wstrząsającego okresu będącego nieocenionym, jednym z bardzo nielicznych, bodaj jedynym tego rodzaju źródłem dokumentalnym. Dokument przechowany został przez byłego kierownika działu ogłoszeń w przedwojennym „Kurierze Porannym”, a w czasie września 1939 r. administratora tego pisma, Antoniego Sliwińskiego, który w tym czasie był faktycznym dysponentem wydawnictwa. Dzięki jego niezmożonej energii udało się wydawać dziennik w najbardziej trudnych warunkach i nieraz niewiarygodnych okolicznościach w walczącej Warszawie. Oryginał nie znanego dotąd dokumentu otrzymałem właśnie od nieżyjącego już dziś Antoniego Sliwińskiego.

W „Sprawozdaniu”, nie oznaczonym datą (ale prawdopodobnie napisanym w dniu 8 listopada 1939 r.) i podpisanym przez A. Sliwińskiego i urzędniczkę administracji J. Falkowską, opisane są beznamietnie wypadki od dnia wyjazdu kierownictwa pisma.

„Dnia 6 września 1939 r. — czytamy — pracownicy »Kuriera Porannego« przybywszy do wydawnictwa [mieściło się ono wówczas przy ul. Marszałkowskiej 148 — K.H.] dowiedzieli się, że w nocy zarząd »Kuriera Porannego« w osobach

pp. M. Orłowskiego i red. R. Piestrzyńskiego oraz części redakcji i pracowników administracji zostali w nocy ewakuowani. Pan dyr. M. Orłowski zostawił p. Garczyńskiej polecenie na piśmie, w którym ustanawia na swoich zastępców pp. Falkowską Janinę i Sliwińskiego Antoniego. Pismo to odczytała pracownikom p. Garczyńska. Kasjer p. Podgórski zastał w kasie zł 65, które wypłacił pracownikom na poczet pensji, poza tą sumą żadnych sum kasjer nie otrzymał na odszkodowanie dla pracowników. W nocy z 6 na 7 września rb. została ewakuowana część drukarni z p. Ciecierskim na czele oraz część administracji. Dnia 7 września pp. Garczyńska, Jarecki, Muszel, Jan i Ignacy Sznyrowie, Stopecki i Witkowski wydali przygotowany przed ewakuacją przez p. Ciecierskiego i pracowników drukarni numer z datą 7 września rb. Dnia 8 września br. zebrali się następujący pracownicy: pp. Bukowska, Drżewska, Karasiówna, Markowski, Garczyńska, Sliwiński, Jarecki, Muszel, Dzięgielewski, Wrzesiński, Czowżyk, Barylski, Jankowska, Kędzierski, Wojciechowski, Niemczykiewicz, Stopecki, Rubinkowski, Lipowiec, Jan i Ignacy Sznyrowie, Witkowski i Gotowiec, którzy przystąpili do pracy, aby w czasie nieobecności dyrekcji utrzymać »Kurier Poranny« na rynku w Warszawie, dokąd to będzie możliwe. Od tego czasu zaczął wychodzić »Kurier Poranny« za 10 groszy w wydaniu porannym i wieczornym. Dnia 9 września kierownictwo objął J. Wiewiórski. Od dnia 12 września zaczęli zgłaszać się do pracy codziennie pracownicy przebywający w Warszawie”.

Ta wstępna relacja zasługuje na uwagę z kilku względów. Po pierwsze, pozostawienie wydawnictwa, redakcji i pracowników przez zarząd wydawnictwa, w tym przez naczelnego redaktora i dyrektora administracji, nastąpiło bez uprzedzenia pracowników wydawnictwa, którzy dowiedzieli się o tym dopiero rano 6 września po przybyciu do pracy. Po drugie, pracowników pozostawiono bez najmniejszego zaopatrzenia, z kilkudziesięcioma złotymi w kasie, nie wydając żadnej dyspozycji, skąd mają wziąć środki na wyrównanie choćby zaległych swoich należności. Po trzecie, kontynuowanie pisma podjęli drukarze; nie czekając na inicjatywę członków redakcji, do których to zadanie należało, wydali oni samorzutnie numer już zresztą złożony i złamany, ale nie wydany wskutek nagłego wyjazdu kierownictwa. Po czwarte, pełną inicjatywę wznowienia pracy i utrzymania pisma w walczącym mieście podjęli także pracownicy drukarni łącznie z urzędnikami administracji, gdy udział członków redakcji w tej akcji był bardzo ograniczony. Na 23 uczestników zebrania w dniu 8 września, na którym postanowiono wznowić pismo, było obecnych tylko trzech członków redakcji, zresztą same kobiety: Herminia Bukowska, Blanka Drżewska, późniejsza Monasterska (obecnie Grodzicka), młoda sekretarka techniczna redakcji, i Maria Karasiówna, w tym czasie świeżo upieczona maturzystka, występująca w mundurze harcerskim. Dopiero nazajutrz dołączył do nich Jerzy Wiewiórski, ówczesny sekretarz redakcji, obejmując kierownictwo redakcji jako senior w tym zespole.

Praca w dalszych dniach wrześniowych nie tylko nie była łatwa, ale obfitowała w dramatyczne fragmenty. „Dnia 14 września p. Falkowska — zapisano w cytowanym „Sprawozdaniu” — otrzymała dyspozycję od p. red. Wiewiórskiego przejęcia kasy od p. Garczyńskiej oraz sporządzenia wykazu sum wypłaconych pracownikom. Pan red. Wiewiórski poza tym wydał dyspozycję uregulowania pracującym pracownikom wszystkich zaległości oraz pensji za wrzesień plus 50% dodatku wojennego, co zaś do pracowników, którzy opuścili Warszawę, p. red. Wiewiórski polecił wypłacić zaliczki zgłaszającym się rodzinom. Poza tym p. red. Wiewiórski wydał polecenie całkowitego rozchodowania wpływów każdego dnia, aby wskutek nieustannego bombardowania nie magazynować gotówki”.

A oto dalsza relacja opisująca samo wydawanie dziennika: „Pismo ukazywało się od dnia 7 września br. do 23 września br. W czasie wydawania pisma kasę prowadziła do dnia 13 września p. Garczyńska, a od 14 września p. Falkowska.

Wszystkie dokumenty zawierające sumy: nakładów i dochodów oraz wszystkie rachunki i pokwitowania były składane w kasie pancерnej (buchalteryjnej) i tam się spaliły podczas nieobecności p. Falkowskiej w Wydawnictwie. Stwierdzili to po otwarciu kasy pp. Fryze, Sliwiński, Wrześniński i Jankowski.

Sprzedaż pisma wedle notatek p. Sliwińskiego i p. Stopeckiego w następujących dniach kształtowała się, jak następuje: dnia 10 IX wydanie poranne 46 tys. egz., wieczorne 7 tys., gratisy 5 tys., razem 58 tys.; dnia 11 IX wydanie poranne 57 tys., wieczorne 14 tys., gratisy 5 tys., razem 76 tys.; dnia 12 IX — poranne 53 tys., wieczorne — 16 tys., gratisy — 5 tys. — razem 74 tys. egz.

Po tych dniach nakłady codzienne zmniejszały się wskutek ukazania się szeregu pism na rynku, a sprzedaż spadała wskutek zwiększającego się bombardowania. W ostatnich dniach nakłady wahały się od 30 tys. do 20 tys. egz. Dnia 20 i 21 września sprzedano około 5 tys. egz. dziennie. Gratisy wydawano następującym instytucjom: zarząd miejski — 1000 egz. dziennie à 3½ gr. za egz. Należytość ta nie została nigdy uregulowana; referat prasowy, p. Kaden-Bandrowski — 500 egz. dziennie; dla wojska, rannych żołnierzy, Polskiego Radia, Czerwonego Krzyża i innych — około 3500 egz. dziennie. Gratisy prowadził p. Jarecki i prowadził ewidencję, która spłonęła”.

Opowiadał mi Antoni Sliwiński, że wobec braku papieru w Warszawie musiano go sprowadzać z Pragi, gdzie znajdowały się zapasy. Wskutek braku środków transportowych oraz przerw na ulicach, spowodowanych barykadami, lejami itp., role papieru gazetowego toczono ręcznie na całej przestrzeni od Pragi do śródmieścia Warszawy, co oczywiście było ogromnym utrudnieniem, tym bardziej że odbywało się wśród nieustannego bombardowania i narażało ludzi na niebezpieczeństwo utraty życia. Nigdy jednak papieru nie zabrakło.

W budynku „Kuriera” w piwnicach na stertach papieru nocowali pracownicy, których mieszkania znajdowały się daleko, oraz znaczna liczba przygodnych gości, którzy odcięci od swoich domostw chronili się w różnych punktach miasta. Maria Karasiówna, zaangażowana przed wybuchem wojny przez Wiewiórskiego do sporadycznej współpracy reporterskiej, opowiadała mi, że w tych groźnych dniach gazetę na ulicach sprzedawali zazwyczaj pod ogniem artyleryjskim także członkowie zespołu administracyjnego i drukarskiego, ponieważ brakowało ulicznych sprzedawców. Redakcja składała się z kilku ludzi; wśród nich znalazł się dziennikarz poznański, którego nazwiska Karasiówna nie pamięta — nazywał się prawdopodobnie Borenstein [dziennikarza o takim nazwisku w Poznaniu, o ile mogłem sprawdzić, przed wojną nie było — K.H.] — wykazujący bardzo wiele ofiarności i oddania w pracy. Jak wspomina Blanka Drżewska, wielkim przeżyciem dla zespołu była decyzja dawnego wydawcy i redaktora naczelnego „Kuriera” — Fryzego.

W górnym hallu redakcji na pierwszym piętrze znajdowały się drzwi, do których prowadziło kilka schodków od zewnątrz hallu. Za tymi drzwiami mieściło się prywatne mieszkanie Fryzego. Pozbawiony wydawnictwa „Kuriera Porannego”, z którym związany był przez dziesiątki lat, mieszkał w tym samym budynku, ale izolował się całkowicie od nowych dysponentów dziennika, zaryglował przejście do redakcji i w ten sposób przerwał z nią wszelką łączność. W tragicznych dniach września rozżalony dotąd był wydawca postanowił powrócić na posterunek, z którego go usunięto. Odryglował drzwi i zgłosił chęć współpracy, podkreślając w ten sposób swoją obecność w wydawnictwie opuszczonym przez ówczesne kierownictwo. W pracach zespołu brał udział do końca.

Na uwagę zasługuje postawa Jerzego Wiewiórskiego, przez cały czas pracy nie tylko wzorowa, ale wręcz znakomita, jak stwierdziły zgodnie Karasiówna i Drżewska. Ani przez chwilę nie okazywał on załamania czy strachu, pomimo że warunki pracy groziły każdej chwili śmiertelnym niebezpieczeństwem. Zamieszkały przy

Hożej, udawał się w przerwach do swego domu, ale nigdy nie zawiódł i powracał, chociaż nieraz musiał przemykać się wśród walących się domów i znajdował się pod ostrzałem artylerii, bomb itd. Jego determinacja dodawała otuchy i siły reszce zespołu.

Dziennikarze — za zgodą władz — nosili w tych dniach na ramieniu żółte opaski, które służyły do rozróżniania ich na ulicach od innych przechodniów i ułatwiały poruszanie się wśród niełatwych i ograniczonych warunków. Pracownicy redakcji wędrowali często do różnych części miasta, aby zebrać materiały do reportaży i wiadomości z pola walki. O jednej takiej wyprawie, odbytej wspólnie z Bukowską, opowiada Karasiówna: udawały się właśnie w rejon cmentarza powązkowskiego, gdy przy Królewskiej zawałił się dom od pocisku i obie dziennikarki przystąpiły do ratowania rannych. Prócz obowiązków wykonywanych w redakcji Karasiówna zajmowała się mającym swą siedzibę na Saskiej Kępie zastępcem harcerskim dziewcząt z Ochoty, który wykonywał różne zajęcia pomocnicze związane z obroną miasta.

W dalszej części sprawozdania pracowników „Kuriera” czytamy: „Sumy użyte ze sprzedaży pisma wydawano: 1) na wynagrodzenie pracowników oraz na częściowe regulowanie zaległości zgłaszającym się rodzinom; pracownikom redakcji i administracji, którzy zgłosili się do pracy, uregulowano pensję za m. wrzesień, pracownikom drukarni wypłacono na poczet zaległości i bieżących należności kwoty do rozliczenia po zrobieniu list płacy; 2) na papier — papieru sprowadzono w tym czasie 19 rol. Cena papieru była bardzo wysoka ze względu na ogromne koszty przewozu z Pragi i wahała się od 10—20 zł za rolę. Ponadto pożyczono z opuszczonej »Gazety Polskiej« 31 rol za zgodą komendanta Straży Obywatelskiej X komisariatu Policji Państwowej mec. Szczerbińskiego; 3) na węgiel, którego sprowadzono 10—14 ton, ilości dokładnej nie można ustalić z powodu braku dowodów. Cena węgla również b. wysoka ze względu na koszty przewozu — około 20 zł za tonę; 4) na aprowizację — większość pracowników stale przebywała w wydawnictwie, nocując tam, wskutek czego musiano stworzyć sekcję aprowizacyjną dla wyżywienia pracowników; na czele sekcji stanęła p. Garczyńska. Wobec ogromnej drożyzny produktów na aprowizację wydatkowano duże sumy”.

Należy z podziwem i uznaniem podkreślić sumiennosc tych wyliczeń, świadcząca, że ówczesne kierownictwo pisma nie korzystało z ogólnego zamieszania, które mogło usprawiedliwiać niejedno przeoczenie i niedokładność w wydatkowaniu pieniędzy. Pamiętać należy, że sprawozdanie spisane zostało już po zakończeniu walki w Warszawie i wobec zupełnej zagłady „Kuriera” po spaleniu się jego siedziby niejedną okoliczność przemawiałaby za niezbyt szczegółowym rozliczeniem się z wydanych funduszy. Usprawiedliwiałoby to wykonane ofiarne zadanie, bezspornie wzmoczone koszty takich pozycji, jak papier, węgiel, wyżywienie, następnie wypłacenie pensji i należności pracownikom itd., w końcu zniszczenie wszelkiej dokumentacji. Jeżeli mimo to uznano za konieczne wyliczenie się z finansowej strony wydawnictwa, świadczy to o bardzo wysokim poziomie moralnym ówczesnego kierownictwa i jego szczególnej uczciwości obywatelskiej i osobistej, jaką wykazano i zachowano w najtrudniejszych chwilach, sprzyjających z reguły ograniczonemu poczuciu odpowiedzialności.

*

Następnym fragmentem sprawozdania jest opis tragicznego pożaru, który położył kres istnieniu „Kuriera Porannego”.

„Pracownicy — czytamy — byli na stanowiskach do chwili spalenia się wydawnictwa, tj. do dnia 26 września br. Dnia 26 września o godz. 4 rano p. Woj-

ciechowski zawiadomił p. Śliwińskiego o przeniesieniu się pożaru z sąsiedniego domu [dom Hersego, przy Marszałkowskiej 150 — K.H.] na gmach, w którym mieścił się »Kurier Poranny«. Część pracowników pozostała na dole, część udała się na strych w celu zlokalizowania pożaru, niestety, wobec braku środków ratowniczych (uszkodzenie sieci wodociągowej, a więc braku wody) nic nie udało się uratować. Akcja ratownicza trwała około 10 godzin (tj. do godz. 14). W akcji tej brały udział osoby: pp. Garczyńska, Fryze, Śliwiński, Jarecki, Wrzesiński, Barylski, Czowżyk, Jankowski, Wojciechowski, Jan Sznyr, Ignacy Sznyr, Stawicki, Chauvin (?) i Ponto. Lokatorzy domu, członkowie Obrony Przeciwlotniczej (OPL), pracownicy chemigrafii opuścili dom i w akcji ratowniczej udziału nie brali. O godz. 3 po południu, w maskach gazowych, przystąpili pp. Śliwiński, Jarecki i Sokolnicki do otworzenia kasy pancernej, gdzie znaleziono bilon rozdzielono pomiędzy obecnych pracowników wedle załączonych pokwitowań. W wydawnictwie spłonęły wszystkie urządzenia biurowe, maszyny drukarskie, wszystkie dokumenty buchalteryjne, bilanse, księgi protokołów nadzwyczajnych i zwyczajnych zebrań udziałowców oraz zebrań zarządu, archiwum zawierające komplety pism, zmagazynowany papier, węgiel oraz magazyn towarów i wiele innych rzeczy. Pomimo największych wysiłków i najszczerzej chęci personelu nie można było nic uratować wskutek silnego bombardowania ciężką artylerią. Uratowano wywiezione poprzednich dni do mieszkań prywatnych dwie maszyny do pisania u p. Śliwińskiego, 1 kasetkę i maszynę do liczenia z motorkiem u p. Garczyńskiej, 1 maszynę do liczenia ręczną, 1 kasetkę kasy koleżeńskie. W dwa dni po pożarze przystąpili pp. Śliwiński, Wrzesiński, Jan Sznyr, Ignacy Sznyr do odgrzebywania spod gruzów niektórych przedmiotów. Wydobyto: 4 tys. sztuk matryc, które zostały złożone na ul. Moniuszki 12, nóż-gilotynę do cięcia papieru w stanie nieco uszkodzonym, zostawiono i zabezpieczono w jednej z piwnic w gmachu »Kuriera Porannego« około 1200 kg metalu, który przetopiono przy pomocy pp. Jankowskiego, Bertranda, Jana Sznyra, Ignacego Sznyra, Kraśniewskiego i Lipowca; metal złożono w piwnicy u p. Śliwińskiego, oraz dwa piece amerykańskie”.

Relacja o pożarze ma tragiczną wymowę. I w tym wypadku do ratowania palącego się warsztatu pracy i placówki prasowej stanęli wyłącznie drukarze i niektórzy pracownicy administracji, usiłując ratować płonący dobytek: maszyny, papier, gmach. Jest coś niesłychanie wzruszającego w ofiarności i determinacji tych ludzi, których działaniu towarzyszyły bombardowanie i ostrzał artyleryjski, i cała groza płonącego, zwanego miasta. Pożar, wedle ustnej relacji Śliwińskiego, przerzucił się z domu Hersego najpierw na strych Fryzego, gdzie znajdowały się stopy książek i materiałów papierowych. Fryze też pierwszy zaalarmował Wojciechowskiego i wezwał do obrony. Sam również, mimo podeszłego wieku, brał udział w akcji ratowniczej. Aby dostać się do łazienek, gdzie lokatorzy z reguły gromadzili w wannach zapasy wody, rozbijano drzwi w okolicznych opuszczonych i zamkniętych mieszkaniach. Obronę utrudniała szczupła liczba ludzi uczestniczących w akcji. Jak już wspomniano, powołane do gaszenia pożaru grupy z OPL po prostu uciekły. Biernie zachowała się też większość przygodnych lokatorów zajmujących piwnice w gmachu „Kuriera”, jak również znaczna liczba pracowników. Ciężar nadludzkiego wysiłku walki z żywiołem pozostał na barkach zaledwie 14 osób. Gmach był spory, znajdowały się w nim znaczne ilości materiału łatwopalnego, w tym chemikalia w redakcyjnej pracowni chemigraficznej. „Kurier Poranny” spłonął doszczętnie.

Tak zakończyła się historia popularnego, jednego z najstarszych, ponad 60 lat liczącego dziennika warszawskiego. Można bez przesady powiedzieć, że „Kurier Poranny” padł na polu bitwy w najgroźniejszych tygodniach życia swego miasta, do ostatniej chwili pełniąc obowiązek publiczny. Z tą kartą jego dziejów wiążą się nazwiska skromnych ludzi, którzy wytrwali dzielnie do końca na posterunku

nie tyle im powierzonym, bo oficjalni kierownicy pisma całkowicie zawiedli i opuścili Warszawę, ile z własnej, obywatelskiej, patriotycznej woli i samorządnej decyzji, pięknej inicjatywy godnej pamięci i rzetelnego, trwałego wspomnienia. Zespół ten stanowi przykład dobrze pojmowanej i sumiennie wykonywanej służby publicznej w najtrudniejszym czasie i dlatego pozostaje niezatartym fragmentem w dziejach polskiej prasy, polskiego drukarstwa, polskich pracowników prasowych.

„Wobec tego — czytamy w końcowym fragmencie „Sprawozdania” — że pracownicy, nie otrzymawszy żadnego odszkodowania, po spaleniu się warsztatu pracy pozostali bez środków do życia i w bardzo ciężkich warunkach, postanowiono za zgodą b. prezesa Komisji Rewizyjnej Zdzisława Grabskiego sprzedać uratowane przedmioty w celu przyścia z pomocą pracownikom. W tym celu wyłoniono komisję w osobach: przewodniczący p. red. W. Dunin-Łasowicz, skarbnik p. Sliwiński, delegaci grupy redakcyjnej: p. Bukowska i wyżej wymieniony p. Łasowicz, delegaci grupy administracyjnej: pp. Falkowska, Sliwiński i Jaworski, delegaci grupy pracowników drukarni: pp. Krępicz, Kocielski, Jankowski i Turski. Komisja została wybrana przez pracowników zebranych na gruzach »Kuriera Porannego« w dniu 8 października br. w obecności następujących osób: p. Bukowska, Łasowicz, Falkowska, Wiśniewska, Krotke, Waligórska, Sokolnicka, Garczyńska, Sliwiński, Podgórski, Jarecki, Jaworski, Lusztig, Wrzesiński, Muszel, Dziegielewski, Wojciechowski, Bertrand, Lipowicz, Jan Sznyr, Ignacy Sznyr, Krępicz, Turski, Chachurski, Królik, Jankowski, Pawliński, Serwa oraz red. Zaleski”.

Sprawozdanie kończy się tekstem wpisanym własnoręcznie przez Zdzisława Grabskiego, byłego prezesa Komisji Rewizyjnej wydawnictwa, jedyne go będącego członkiem oficjalnych władz „Kuriera Porannego”, który nie opuścił miasta. Jego oświadczenie brzmi znamienne:

„Wobec zupełnego pozostawienia pracowników »Kuriera Porannego« bez środków do życia i niespodziewanej, a panicznej ucieczki władz »Kuriera« z Warszawy, w sumieniu moim, patrząc na dobrą wolę wyżej wymienionych pracowników, ofiarną pracę, uznałem, że nieliczne spod gruzów wydobyte przedmioty winny służyć na zabezpieczenie życia pracowników w ciągu pierwszych dni, gdy wszystkie możliwości zarobków zostały dla nich zamknięte — Zdzisław Grabski”.

Zgoda nieformalnego rzecznika władz wydawnictwa na spieniężenie resztek uratowanego mienia celem zaspokojenia potrzeb bytowych zespołu pracowników zawiera równocześnie surową ocenę i ciężkie oskarżenie pod adresem kierownictwa, napiętnowanego za „niespodziewaną i paniczną ucieczkę z Warszawy” i pozostawienie pracowników bez żadnego zaopatrzenia. Dokument ten bezspornie odzwierciedla stanowisko i ocenę zachowania się kierownictwa nie tylko przez Zdzisława Grabskiego, ale — co nie ulega wątpliwości — przez pozostały w Warszawie zespół pracowników. Wedle ustalonych relacji żyjących pracowników, wzburzenie wśród zespołu było powszechne i wyrok potępienia jednomyślny.

Na tym kończy się sprawozdanie z działalności pracowników „Kuriera” w końcowym okresie istnienia pisma i trzech ostatnich tygodniach września 1939 r.

Dalszy ciąg relacji obejmuje okres okupacji hitlerowskiej. Jest rzeczą znamieną, że mimo oczywistej katastrofy i likwidacji wydawnictwa zespół jego pracowników nie dał za wygraną i podejmował — jak się okaże — bezowocne, ale uparte próby kontynuowania wzajemnej współpracy w oparciu o solidarność interesów i koleżeńską wspólnotę z okresu przedwojennego i wojennego współdziałania. Świadczyło to chyba o bardzo silnie zakorzenionych węzłach zawodowej łączności.

Pierwszy protokół z posiedzenia, odbytego — jak czytamy — „na gruzach »Kuriera Porannego«”, pochodzi z 8 listopada. Udział w zebraniu brali wszyscy członkowie komisji wybranej po spaleniu się budynku „Kuriera Porannego”. Sliwiński zreferował możliwości finansowe, informując, że w dniu 8 XI sprzedano za sumę

650 zł wydobyte z gruzów piece amerykańskie, wydobyto i przetopiono ponad 1000 kg metalu oraz wydobyto 4 tys. matryc. Red. [Roman] Zaleski przyrzekł znaleźć kupców na ten towar. Poruszono sprawę zainkasowania należności za ogłoszenia z okresu przedwojennego i za kolportaż „Ruchu”; postanowiono też pojechać do Poznania, aby od tamtejszych firm (Pebeco, Centra, Stomil) wyegzekwować należności ogłoszeniowe. Zdecydowano dać ogłoszenie do prasy w sprawie sprzedaży 2 maszyn do pisania i 2 maszyn do liczenia. Wobec różnicy zdań na temat podziału pieniędzy red. Wąsowicz zaproponował, aby podział dokonano wedle poszczególnych grup pracowników, których miało być trzy: redakcyjna, administracyjna i drukarska. Przeciw tej propozycji zgłoszono sprzeciwy i zaproponowano podział pieniędzy na „równą ilość pracowników”, ale rozpatrzenie sprawy odroczone do następnego zebrania. Miało ono odbyć się za trzy dni, 10 XI, w mieszkaniu Słiwińskiego przy ul. Skorupki 10.

Sprawy zaczęły się jednak komplikować. Przedstawiciel masy upadłościowej Kratzer zażądał zwrotu metalu, do którego masa rościła pretensje, postanowiono więc wejść w pertraktacje z Kratzerem. Należności z „Ruchu” uznano za stracone, ponieważ instytucja ta została zajęta przez Niemców. Zabrano stamtąd jedynie makulaturę z nie sprzedanych dawniej egzemplarzy „Kuriera”, co stanowiło obecnie częśćkę biednych zasobów zespołu. Uchwalono, że p. Jarecki, który miał zająć się inkasowaniem zaległych sum od różnych ogłoszeń, otrzyma 10% za swoje czynności. Firma ogłoszeń Pietraszek z Poznania zawiadomiła, że długi będzie płacić po zakończeniu wojny; postanowiono podjąć z nią rokowania, ponieważ w ręku p. Falkowskiej znajdowały się weksle Pietraszka na sumę 723 zł.

Do Poznania „za zwrotem kosztów podróży” skierowano Słiwińskiego celem podjęcia tam starań w sprawie inkasa różnych sum. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży dwóch pieców amerykańskich zapłacono robotnikom zajęтым przy wydobywaniu i przetapianiu metalu 408 zł, za inne wydatki 75 zł. Do podziału pozostała mizerna kwota 167 zł. Wydatki związane z ratowaniem mienia okazały się nadmierne i pożerały niemal cały kapitał. Perspektywy rysowały się raczej niedobre. Pozałatwiano różne inne, tym razem drobniejsze wydatki, np. za wykonywanie prac związanych ze sprzedażą makulatury czy zestawieniem zaległości za ogłoszenia, i aby ograniczyć pretensje w tych sprawach, wyznaczono dniówkę za tego rodzaju pracę w wysokości 5 zł. Komisja podziękowała Słiwińskiemu za jego bezinteresowny wysiłek.

Na trzecim posiedzeniu w dniu 16 listopada Słiwiński zawiadomił, że z gmachu „Kuriera Porannego” skradziono 2 piecyki gazowe, szafkę i około 50 kg makulatury, co stanowiło majątek pracowników. Jedyłą drogą do uzyskania gotówki była tylko sprzedaż maszyny do liczenia i zainkasowanie należności za ogłoszenia. „Sprzedaży matryc, noża i gilotyны oraz metalu ogłaszać w prasie nie można, trudniej je więc sprzedać”. Na wieść, iż Bank Gospodarstwa Krajowego przystępuje do rozbiórki spalonego gmachu „Kuriera”, postanowiono podjąć starania, aby pracownicy pisma mogli uzyskać przy tym zajęcie. Chwytano się każdej deski ratunku.

Kolejne posiedzenia rysowały coraz gorsze widoki. Na czwartym z kolei, w dniu 23 listopada, Słiwiński oświadczył, że nie pojedzie do Poznania, ponieważ nie dostanie koniecznej przepustki. Kupiec, który zgłosił się w sprawie metalu, wycofał się. Podjęto starania, aby ujawnić stan konta „Kuriera” w PKO. Bank Gospodarstwa Krajowego odmówił funduszów na zabezpieczenie zasypanych maszyn drukarskich, poza tym zaś oświadczył, że nie widzi w tej sprawie żadnej dla siebie korzyści. Ponieważ domyślano się, że po odkopaniu maszyn można by częściowo spieniężyć je jako „szmelc”, postanowiono wystąpić do Banku o przydzielenie sklepu, zajmowanego dawniej przez Lichtensteinową-Czerwińską. W lokalu, który był w dobrym stanie i wymagał tylko niewielkiego remontu, komisja

planowała założenie małej drukarenki (pedał został wydobyty z gruzów) oraz biura próśb, podań i przepisywania na maszynie lub innego przedsiębiorstwa przynoszącego dochody pracownikom „Kurierów”. Projektowano w tym celu utworzenie „Spółdzielni Pracowniczej”. Pracownicy drukarni zwrócili się do red. Wiwińskiego, aby wypłacono im odszkodowanie z funduszu Związku Wydawców, ale rzecz okazała się nieaktualna, ponieważ na ten cel Związek pieniędzy nie wypłacał.

Piąte zebranie odbyło się 1 grudnia. Bank Gospodarstwa Krajowego zażądał 8000 zł na zabezpieczenie maszyn znajdujących się w suterenach lokalu Czerwińskiej, które chciano wynająć. Takiego funduszu pracownicy nie posiadali. W PKO znajdowała się wszakże spora suma 3200 zł na koncie wydawnictwa, a z Ministerstwa Komunikacji należało się „Kurierowi” 1500 zł, postanowiono więc napisać do tych instytucji podania w języku niemieckim. Po otwarciu kasy kasjera Podgórskiego znaleziono 3,50 zł; wszystkie znajdujące się tam poza tym dokumenty były zwęglone. Nadal nie załatwiona była sprawa metalu i matryc. W dyskusji, jaka wywiązała się na temat projektowanej „Spółdzielni Pracowniczej”, Królik twierdził, że liczne istniejące drukarenki warszawskie nie mają pracy, wobec tego Śliwiński poddał projekt, aby przystąpić do wyrobu toreb, opakowań, ulotek ogłoszeniowych, otworzyć biuro podań, informacji albo po prostu zająć się handlem. Powstał problem, czy do spółdzielni mają należeć wszyscy pracownicy, czy tylko niektórzy. Ostatecznie wybrano 3 kandydatów, którzy mieli rozważyć całe zagadnienie. Byli to: Wąsowicz, Śliwiński i Kocielski.

Na następnym, szóstym zebraniu Wąsowicz postawił dwa zagadnienia jako sprawy podstawowe: znalezienie lokalu i jego ewentualny remont. Problem lokalu przedstawiał się pomyślnie, ponieważ BGK zajmował przychylnie stanowisko w sprawie jego wynajęcia. Gorzej rysowała się sprawa remontu, ponieważ na ten cel potrzeba byłoby 2 do 3 tys. zł. Należało albo znaleźć finansistę, którego by później spłacono, albo pokryć wydatki udziałami pracowników. Falkowska nie podzielała tu ogólnego optymizmu, ponieważ spółdzielnia liczyłaby około 100 osób, a spłata kosztów ograniczyłaby wypłatę ewentualnego zysku do minimalnych granic. Postanowiono na razie podzielić zebraną gotówkę i oszacować nieruchomości, które mogłyby być ewentualnym udziałem spółdzielni. Wszystkie te projekty, jak widać, nie sprecyzowane dokładnie, były w gruncie rzeczy nierealne.

W dniu 12 grudnia dzielono gotówkę starym ówczesnym obyczajem na święta. Ponadto omówiono sprawę sklepu. Stan kasy był mizerny: wpływów wykazano 1020,40 zł, ale wydatków 864,20 zł, saldo wynosiło zaledwie 156,20 zł. Z inkasa ogłoszeń wpłynęło 137,93 zł, do podziału świątecznego pozostało zatem 294,13 zł. Granice cierpliwości zostały widocznie przekroczone; jednomyślnie postanowiono sprzedać wszystko, co znajdowało się w posiadaniu komisji, „ponieważ — jak notuje protokół — jesteśmy w tak ciężkiej sytuacji, że nie możemy czekać na lepszą koniunkturę”. Wyceniona na 500 zł maszyna do liczenia nie znalazła kupca — cena okazała się za wysoka. Wąsowicz zaproponował podział pieniędzy w wysokości poborów miesięcznych wedle list poszczególnych działów wydawnictwa. Wpłaty winny być obliczone na podstawie stosunku procentowego każdej listy, grupy zaś będą dzieliły otrzymaną sumę indywidualnie między sobą. Falkowska i Królik przeciwstawili się tej propozycji i zażądali równego podziału między wszystkich pracowników. Turski zalecał podział procentowy wedle wysokości zaległości poszczególnych pracowników. Przeciw temu wystąpiła Falkowska, twierdząc, że komisja nie jest powołana do regulowania zaległości, nie mogą więc być one podstawą obliczeń. Podział wedle zaległości wypadłby z dużą korzyścią dla drukarni, gdzie są one największe, a bardzo skromnie dla pracowników administracji, którzy tych zaległości nie posiadają, byłoby to zatem niesprawiedliwe. Turski

wycofał wobec tego wniosek, a grupa drukarni przyjęła sugestię red. Wąsowicza, która tym samym została uchwalona.

W sprawie wynajmu sklepu Sliwiński powiadomił, że BGK żąda zań komornego, a remont musiałby być przeprowadzony na koszt pracowników „Kuriera”. Postanowiono wysłać delegację do nieobecnego red. Wiewiórskiego, aby pomógł w załatwianiu sprawy z bankiem i postarał się o pieniądze lub pożyczkę dla pracowników na remont sklepu. Obciążaniu tą sprawą Wiewiórskiego sprzeciwili się Sliwiński i Wąsowicz, ponieważ możliwości Wiewiórskiego w tej dziedzinie uważali za nierealne. Funkcję sekretarza komisji powierzono Falkowskiej w miejsce Turskiego, który — jak stwierdzono — zbyt często jest nieobecny na jej posiedzeniach. Był to pierwszy sygnał rozdzwisku w komisji.

Obrady komisji w dniu 19 grudnia poświęcono sprawozdaniu ze stanu kasy. Ze szczegółowego zestawienia wynikało, że saldo do ewentualnego podziału po sprzedaży 2 pieców amerykańskich, makulatury, pedału drukarskiego, gilotyny, metalu, po zainkasowaniu zaległości z ogłoszeń i pokryciu wszystkich wydatków wyniosło 1793,05 zł. Podzielono je następująco: pracownicy redakcji otrzymali 430,80 zł, administracji — 538,50 zł, drukarni — 825,70 zł. Postanowiono nie udzielać w przyszłości żadnych zaliczek.

Nowy rok 1940 zaczął się dziewiątym z kolei zebraniem w dniu 2 stycznia. Postanowiono na nim obniżyć cenę jednej maszyny do pisania i jednej do liczenia z 1200 do 500 zł. W dniu 15 stycznia okazało się, że w kasie jest około 700 zł. Wynikła natomiast niespodziewana i przykra sprawa z KKO (Komunalną Kasą Oszczędności), która przedstawiła trzy weksle po 1000 zł każdy, domagając się ich wykupienia; były one wystawione przez spółkę wydawniczą „Kuriera” i podpisane osobiście przez Sliwińskiego. Komisja stanęła na stanowisku, że z jej funduszków weksle nie mogą być splacane, i z prośbą o załatwienie tej sprawy postanowiła zwrócić się do red. Wiewiórskiego. Nietrudno zauważyć, że wszystkie cięższe, powikłane problemy składano na barki Wiewiórskiego, przeceniając znacznie jego możliwości.

W styczniu kryzys wewnątrz komisji pogłębił się. Po raz pierwszy odwołano jej posiedzenie w dniu 19 stycznia, ponieważ na zebranie zjawiło się tylko czterech członków. Wobec sprzedaży maszyny z motorkiem za 1100 zł i maszyny do pisania za 250 zł w kasie znajdowała się gotówka w wysokości 1600 zł. Wyegzekwowanie sum z PKO i z poczty okazało się niewykonalne, ponieważ konta zostały zablokowane przez władze niemieckie.

Długą i burzliwą dyskusję wywołała sprawa trzech weksli KKO. Sliwiński zawiadomił, że jeden weksel już wykupił z własnych funduszków, ale następne dwa będzie splacał z funduszków komisji, ponieważ dotyczą one długu spółki wydawniczej. „Ogólnie zaprotestowano — czytamy w protokole — przeciwko użyciu pieniędzy, przeznaczonych na zapomogi dla pracowników, na wykupienie weksli. Wziąwszy pod uwagę, że p. Sliwiński dając prywatne żyro na wekslach Stołecznej Spółce Wydawniczej »Kuriera Porannego«, z których wpływ był przeznaczony na wypłatę dla pracowników, znalazł się obecnie w przykrej sytuacji, ponieważ KKO grozi mu licytacją mebli, postanowiono wysłać zaproszenie do p. red. Wiewiórskiego z prośbą o przybycie na następne zebranie, wychodząc z założenia, że p. red. Wiewiórski jako zarządca firmy powinien zająć się tą sprawą i nie dopuścić, aby weksle były wykupione przez komisję”.

Nie była to jednak jedyna na tym posiedzeniu kontrowersyjna sprawa związana niepomysłnie dla komisji następstwa. Ujawniony został rozłam wewnętrzny, w wyniku którego Bertrand, rzecznik pracowników drukarni, wystąpił — jak czytamy w protokole — „z wnioskiem, aby z grona komisji wykluczyć pracowników redakcji, którzy zorganizowali samopomoc koleżeńską na swoim terenie. Wniosek uchwalono jednogłośnie, wzięwszy pod uwagę, że p. red. Wąsowicz, delegat pra-

cowników redakcji, przestał przychodzić na zebrania, a pomimo zawiadomienia go o możliwości powyższej uchwały jest nieobecny i na dzisiejszym zebraniu”.

W ten sposób w komisji znaleźli się wyłącznie pracownicy administracji i drukarni. Na usprawiedliwienie członków redakcji należy dodać, że istotnie dziennikarze warszawscy, nie tylko z „Kuriera Porannego”, podjęli w tym czasie inicjatywę założenia własnej spółdzielni i uruchomienia przy ul. Smolnej słołówki, która przetrwała aż do powstania warszawskiego. Będący współinicjatorami i współorganizatorami tej akcji pracownicy „Kuriera Porannego”, szczególnie Wąsowicz i Wiewiórski, doszli do wniosku, że dotychczasowa próba kontynuowania przez nich współdziałania samopomocowego w ramach jednego pisma nie ma żadnej szansy trwałości i skuteczności, co się w końcu okazało przewidywaniem trafnym. Stąd to właśnie ani Wąsowicz, ani Wiewiórski nie uczestniczyli w zebraniach i wycofali się z komisji, koncentrując swój wysiłek i ofiarność na organizowaniu samopomocy na terenie ogólnodziennikarskim. Szczególną rolę w tej dziedzinie odegrał w czasie wojny Władysław Dunin-Wąsowicz.

Cztery ostatnie zebrania komisji odbyły się w dniach 9 i 16 lutego oraz 4 marca i 18 kwietnia. Ostatnie zebranie, zwołane na dzień 26 kwietnia, nie doszło do skutku, ponieważ zjawilo się na nim już tylko dwu członków: niezawodny Śliwiński oraz Królik. Na tym protokoły zebrań się urwały, wolno więc przyjąć, że komisja przestała działać. Nie wiadomo wszakże, czy nastąpiło jej formalne rozwiązanie. Zwołane na dzień 3 maja zebranie nie zostało w ogóle zanotowane.

Sytuacja pracowników stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. W dniu 9 lutego — czytamy w protokole — „zwrócono się do p. red. Wiewiórskiego z prośbą, aby zechciał służyć swoją radą, w jaki sposób można przyjść z pomocą pracownikom, z których wielu jest w nędzy, ponieważ wpływy przeznaczone na zasiłki są minimalne i nie ratują sytuacji. P. red. Wiewiórski poradził, aby zwrócić się do amerykańskiego Czerwonego Krzyża, oraz zaproponował, aby pracownicy drukarni wystąpili do Samopomocy Społecznej jako grupa bezrobotnych drukarzy w celu stworzenia jadalni, przy czym p. red. Wiewiórski zaznaczył, że będzie im służył całkowitym swoim poparciem. Stworzenie takiej placówki da możliwość przyścia z pomocą pracownikom przez wydawanie bezpłatnych bonów na obiady, bonów opałowych”.

W dniu 16 lutego Śliwiński zawiadomił, że wpłacił 2 tys. zł do KKO na poczet spłaty weksli, a ponieważ doszły do tego spłaty na procent, przeto z sumy 3128 zł, jaka w tym okresie znajdowała się w kasie, pozostały tylko 33,33 zł. Wywiązała się — jak notuje protokół — „ostra dyskusja”, w trakcie której stwierdzono, że „Śliwiński postawił komisję przed faktem dokonanym, pomimo że komisja wychodziła z założenia, że nie może płacić zobowiązań Stołecznej Spółki Wydawniczej [„Kuriera Porannego”], ponieważ była powołana do innego celu. P. Śliwiński twierdził, że ma na swoją obronę to, że o pieniądze uzyskane w KKO na weksle przed wybuchem wojny postarał się na wypłatę dla pracowników. PP. Kryspin i Kocielski wysuwają wnioski, że jeśli wierzyciele dowiedzą się, że komisja płaci stare długi, zgłaszają swoje pretensje na ręce komisji. P. Krępicz twierdzi, że jeśli komisja reguluje długi, to powinna w pierwszym rzędzie uregulować pretensje pracowników. Powyższej wypłaty komisja nie zaakceptowała. P. red. Wiewiórski przerwał dyskusję jako bezcelową, stwierdzając, że ze stanowiska koleżeńkiego należałoby tę wypłatę uchwalić, ponieważ tylko jednemu p. Śliwińskiemu groziła zapłata 3000 zł. Przy podziale wypadałoby na poszczególnego pracownika mniej więcej po 20 zł. Suma ta nie jest duża i należałoby się jej zrzec na korzyść kolegi, który znalazł się w trudnej sytuacji i musiał się ratować. P. red. Wiewiórski proponuje raczej myśleć o innych możliwościach i działać realnie, tym bardziej że p. Grabski [Zdzisław] może pomóc i poprzeć wszelkie starania komisji. Uchwalono wybrać delegatów spośród pracowników administracji; delegaci ci przy po-

mocy p. Grabskiego, red. Wiewiórskiego rozpoczną działania w sprawie otwarcia jadłodajni”.

Znajdujące się w kasie z początkiem marca 287,09 zł rozdzielono między potrzebujących natychmiastowej pomocy doraźnej. Kasjer Podgórski zawiadomił, że powstał komitet, złożony z Górskiego, Krępicza i Leweszana z wydawnictwa „Czas”, który z funduszków uzyskanych z Opieki Samopomocy Społecznej organizuje stołówkę, gdzie będzie można otrzymać pożywną zupę po 40 gr i bezpłatne bony. Komitet dostarczy także pewnej ilości tranu. Na ostatnim posiedzeniu 18 kwietnia w kasie było zaledwie 130 zł, z czego Skotakowi, któremu groziła eksmisja, wypłacono 50 zł (równowartość jednomiesięcznego czynszu) oraz 2 osobom po 25 zł zapomogi. Następne zebranie, jak wiadomo, nie doszło już do skutku.

*

Smutne, przygnębiające karty tej relacji, ukazującej fragment życia Warszawy z pierwszych miesięcy wojny, coraz bardziej pogłębiające się wtedy dno ludzkiej nędzy i bezradności wobec ogromu nieszczęścia, jakie dotknęło kraj, są jeszcze jednym dramatycznym przyczynkiem do historii tamtych okrutnych czasów.

Podjęta przez pracowników wydawnictwa warszawskiego, dla którego wybuch wojny oznaczał trwałą likwidację, próba podtrzymania współpracy nie dała rezultatu nie dlatego, że zawiedli zwyczajni, prości ludzie, ale ponieważ zaczynał się w dziejach Polski nowy okres, zupełnie odmienny, z czego nie wszyscy jeszcze w tym czasie zdawali sobie sprawę. Stąd wielu ulegało niejednemu złudzeniu. Po nieudanych próbach, obalonych twardymi wymogami brutalnej rzeczywistości, każdy z zawiedzionych podejmował samodzielną walkę o byt codzienny i o ile nie padł od kuli czy terroru wroga i jego ludobójczych metod, doszedł w pięć lat potem w najcięższym wysiłku do dnia wyzwolenia.

Po powrocie ze Lwowa nie włączyłem się w nurt życia moich dawnych kolegów, mimo iż cały czas znajdowałem się w Warszawie. Stało się to z kilku przyczyn. Od pierwszej chwili unikałem jakiegokolwiek ujawniania się publicznego, a akcja pracowników „Kuriera” odbywała się jawnie, wbrew wszelkim zasadom ostrożności. Na gruzach budynków pracownicy wylepiali pisemne ogłoszenia z adresami swoimi i kolegów, załatwiając drogą takiej korespondencji różne sprawy osobiste; zebrania odbywano publicznie na gruzach wydawnictwa, choć już pierwsze dni okupacji wskazywały, że hitlerowcy interesują się dziennikarzami polskimi. Nie przywiązywałem wagi również do skuteczności akcji samopomocowej w kilkunastoosobowej grupie, uważając, że utrzymywanie przez nią ścisłej więzi w ramach dotychczasowej pracy z „Kurierem” mogło łatwo doprowadzić do jej rozbięcia przez gestapo. Moje przewidywania okazały się trafne, ponieważ podejmowana w pierwszym półroczu okupacji inicjatywa nie dała trwałego rezultatu i wkrótce dawni pracownicy pisma znaleźć musieli inne rozwiązanie swych spraw bytowych, nie mające żadnego związku z dawną współpracą z „Kurierem”. Istotną przyczyną mego postępowania była też decyzja włączenia się do akcji podziemnej, co wykluczało jakąkolwiek współpracę typu samopomocowego w gronie ludzi, których nie brałem pod uwagę w moich zamierzeniach. Przez cały okres wojny, aż do późnej jesieni 1944 r., nie korzystałem nigdy z żadnej pomocy finansowej ze źródeł dziennikarskich ani jakichkolwiek innych, które w tych latach były czynne. Po raz pierwszy i jedyny skorzystałem z zapomogi w Krakowie w jesieni 1944 r., kiedy po powstaniu warszawskim podjąłem z ręką W. Dunin-Wąsowicza 1 tys. zł z kasy Syndykatu i Delegatury Rządu, nie mając wtedy żadnych środków do życia.